

KRYSTYNA POTRZYSZCZ

ur. 1933; Kamionka



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, praca, szkolnictwo, wystawa historyczna, obozy na Węgrzech

Praca w lubelskich szkołach

Wróciłam z Poniatowej, ponieważ wpłacaliśmy pieniądze na spółdzielnię mieszkaniową w Lublinie. Pojechaliśmy z mężem oglądać mieszkanie na osiedlu Słowackiego. Jedziemy ulicą Wileńską, ja mówię: „Oby tylko nie w tym miejscu”. Zobaczyłam te balkony – to osiedle mi nie przypadło do gustu, no ale przenieśliśmy się w tym mieszkaniu trzy lata po śmierci córki, mieszkaliśmy z wnuczką, ponieważ była nieletnia. Trzeba było dziewczynę wykształcić, wydać za męża. Trzy lata pomieszkaliśmy z młodymi małżonkami i doszłam do wniosku, że się do siebie przeniosę – na Balladyny. A potem doszłam do wniosku, że samemu jest bardzo źle – echo się odbija w mieszkaniu prawie siedemdziesięciometrowym. I wróciłam do wnuczki. Jestem w tej chwili z wnuczką, z jej małżonkiem i z małą, czteroletnią dziewczynką, która w niedzielę skończyła cztery latka – z Zofią.

Wróciłam do Lublina, już za sobą miałam zaoczne studia z historii. Pracę magisterską pisałam u pana profesora Kazimierza Myślińskiego. To były lata sześćdziesiąte, dwa lata pracowałam w szkole numer 8 i godziny miałam w liceum – tam było V liceum, u pani dyrektor Marii Jarosz. Ale tam tylko godziny miałam – ktoś poszedł na chorobowe, czy na taki urlop roczny, więc ja chwyciłam tych kilka godzin i tam pracowałam. Później bardzo mi się spodobała szkoła na LSM-ie – nie ogólnokształcąca, średnia, tylko podstawowa, do której chodziły moje dzieci. Poszłam na Dzień Kobiet. Zabrałam kwiaty, które dostałam ja w szkole, w której pracowałam – w ósemce i w piątce. Zabrałam te kwiaty i tanim kosztem – bo te pensje były bardzo liche – poszłam do tej szkoły. Ciepło było, płaszcz zdjęłam – taki był piękny dzień w roku [19]67. Przyglądam się, młodzież pięknie stoi – żaden nie wspina się po drabinkach, żaden nie siedzi na koziołkach – na tych, przez które skakali. Wszystko jakoś takie uporządkowane, dużo tego jest. Co oni tacy grzeczni? Zszokowana byłam dosłownie. Nieżyjący już dzisiaj Andrzej Stolarski – młody chłopak wtedy, a i młodo zmarł – wywołuje konkretną panią nauczycielkę, wręcza jej uczeń wytypowany przez samorząd uczniowski do wręczenia jednego kwiatka i jednej broszki wykonanej na

pracach ręcznych przez uczniów z takiej mosiężnej blachy, powyginanej na różne sposoby. I to jest upominek dla nauczycieli. Tak się tą szkołą zachwyciłam, do tej pory byłam w Komitecie Rodzicielskim tej szkoły. Już od początku, od [19]66 roku. I wtedy, jak składałam kwiaty, to już byłam w Komitecie i znałam panią dyrektor. Ale zmarł ojciec mój w roku [19]66, tuż po przyjeździe z Poniatowej. Ja byłam taka ponura – jak człowiek się może czuć, jest sam, nie ma siostry, nie ma brata, zostaje sam. Mąż ma pracę taką, że jeździ, jest w terenie w większości, ja zostaję w domu z dwójką dzieci. Bardzo źle się czułam, byłam taka ponura. I kiedy pomyślałam o przeniesieniu się do tej szkoły, to zobaczyłam też takie kwaśne spojrzenie swojej pani dyrektor, która jest przyjaciółką dla mnie do tej pory, ale takie było to pierwsze właśnie spojrzenie. Ja przeżywałam to, co przeżywa każdy, kiedy traci osobę bliską. Potem mija to, czas goi rany. I po dwóch latach, po takim niezbyt optymistycznym spojrzeniu odnośnie pracy poprosiłam pana profesora Myślińskiego [o pomoc] – cieszyłam się jego jakimiś nadzwyczajnymi względami. Mówiono na niego „Dziadek”, był taki malutki, nieduży człowieczek. Pochodził z rodziny kolejarskiej, z Wielkopolski. Pan profesor Myśliński poprosił inspektora oświaty, który był studentem jego – starszego ode mnie, ale studiował i studiował, nie mógł skończyć, bo ciągle był zajęty wizytowaniem, hospitowaniem i tak dalej – i on panią dyrektor przekonał, żeby mnie przyjęła do pracy. No i przyjęła mnie do pracy. Ja się wzięłam tak energicznie do pracy, że na dwudziestopięciolecie odzyskania niepodległości przez Polskę zrobiłam wielką wystawę historyczną przy współpracy innej koleżanki, która była historykiem. I ta wystawa eksponowała tyle materiałów, że wystarczyło na umieszczenie ich na całej sali gimnastycznej. Chłopcy zmontowali specjalne stojaki, które przywieźliśmy z koleżanką i z rodzicem z jakiejś centrali z ulicy Gospodarczej. Biblioteka Łopacińskiego wypożyczyła mi oszklone gabloty, takie, że można było z góry oglądać materiały eksponowane, żeby czasem jakiś dowcipniś czegoś nie ściągnął. Ciągnęły się przez całą salę gimnastyczną. Rodzic jeden przywiózł dwie bele karbowanej tektury, mój mąż przywiózł z kolei darowiznę z tartaku w Niemcach koło Lublina – okorowane elementy drewniane z dziurą w środku, a do tej dziury przywiózł pięćdziesiąt uchwytów do szpadli. Chłopcy tylko uchwyty powkładali do tego, myśmy ten zrolowany papier tekturowy rozciągnęli przez jedną stronę sali i tam były eksponowane materiały. A skąd zdobyłyśmy materiały? Poszłyśmy do pana profesora Lorentza, pojechałyśmy na trzy dni do Warszawy. Pan profesor Lorentz powiedział: „W tej chwili paniom nic takiego nie dam, bo nie mam, ale polecę komuś ze swoich pracowników i jakieś materiały, które zostały w postaci nie dokumentów, ale w postaci takiej, w jakiej myśmy prezentowali. Może ja będę mógł jakieś takie folderki informujące o wystawie przesać paniom, jakieś książki dotyczące dwudziestopięciolecia”. I rzeczywiście taka paczka przyszła. Na ulicy Foksał mieściła się Centralna Agencja Filmowa. W tej Centralnej Agencji Filmowej dostałyśmy takie kantyczki – wielkości notesu. I na kantyczkach były pokazane zdjęcia. I to, które odpowiadało nam, załóżmy – rząd Daszyńskiego w Lublinie, rząd Moraczewskiego

późniejszy, potem Piłsudski powracający z Magdeburga – wzięliśmy. Nie dostałyśmy wcale żadnej nagany z tego tytułu, ta wystawa była piękna. kilkoro uczniów z klas ósmych oprowadzało tych, którzy z innych szkół przychodzili. Dwa tygodnie ta wystawa była czynna – uroczyście otworzona w obecności inspektora, w obecności mojego profesora, w obecności pani od metodyki, pani Gustawy Hyczko. Po otwarciu oficjalnym, w gabinecie pani dyrektor, wicekierownik szkoły mówi tak: – Proszę pani, tak niechętnie przyjmowaliśmy panią do pracy. A ja się pytam: – A co by pan dzisiaj powiedział? – A dzisiaj to już bym powiedział samo dobro.

Szkolę wspominam fantastycznie. Jeszcze jako członek komitetu rodzicielskiego zorganizowałam jeden obóz, w [19]67 roku do Debreczyna. Ponieważ pani dyrektor była radną, łatwiej jej było jakoś nawiązać kontakty i poprzez to nawiązany został kontakt ze szkołą muzyczną w Debreczynie. Polegał na tym, że wymienialiśmy listy. Sąsiad mój jest Węgrem – skończył AGH w Polsce, ożenił się z polonistką i został w Polsce. On nam tłumaczył listy z węgierskiego albo myśmy pisali listy, a on tłumaczył na węgierski, żeby wysłać. Tak przyjaźń z tą szkołą trwała ponad osiem lat. W jednym roku oni przyjeżdżali do nas, w następnym roku myśmy jechali do nich na siedem do dziesięciu dni – różnie to było. I przez ten okres ja sześć razy prowadziłam takie grupy, jeździliśmy do Debreczyna, do Keszthely, do Lillafüred. Zwiedzaliśmy Góry Bukowe, jeździliśmy do takiego pięknego miasteczka – Szentendre bodajże, ale tej nazwy dokładnie nie pamiętam, bo język węgierski jest trudny do zapamiętania. Ale na puszcze buszowaliśmy, w Szeged byliśmy, w Miskolcu byliśmy, w tych gorących źródłachśmy się kąpali z młodzieżą, tak że była to wielka frajda. Wtedy ciężko było dosyć, ale okazało się, że ja zbierałam dokumenty od młodzieży, fotografie, szłam do biura paszportów i można było załatwić pieczętkę w urzędzie miasta jeszcze przystawioną i jechaliśmy w taki sposób. Tak że to było fantastyczne.

Kiedy władze zarządziły urządzenie gabinetów na konkurs, to moja pracownia historii zajęła po Piaskach drugie miejsce w skali okręgu, tak że było to bardzo dużo. To była duża sala przegrodzona taką ażurową metalową konstrukcją, zawieszoną zieloną kotarą. Na tle tej kotary wisały paprotki i cztery odznaczenia zrobione z kartonu na pilśniowych kwadratowych płytach, łatwych do umieszczenia – to wszystko robili uczniowie. Oni malowali doniczki, jak od wody na przykład zacieki były żółte, to oni farbą emulsyjną malowali, gazetę podkładali. Młodzież chętnie to robi, jak jest zachęcona i jak widzi efekt swojej pracy – wtedy pucuje. Był taki okres, że były ograniczenia w zatrudnieniu osób, na przykład sprzątających, to oni chętnie pastowali, froterowali – w czasie jednej pauzy pół sali wyczyścili, w czasie następnej następne pół wyczyścili.

W szkole nr 35 przepracowałam do roku [19]91, kiedy został wybrany nowy kurator. Nazywał się pan Czajka. Doszedł do przekonania, że wszyscy nauczyciele, którzy skończyli lat pięćdziesiąt pięć, humaniści – a więc tacy, którzy młodzieży mogą przekazać coś więcej niż obliczanie pierwiastków czy całek – powinni przejść na emeryturę. Ja już miałam więcej niż pięćdziesiąt pięć lat i niestety musiałam przyjąć

to do wiadomości. Na emeryturę nie przeszłam, zostałam zatrudniona na umowie zlecenia przez dwa lata, a potem dyrektorka została wyeksmitowana na rzecz dawnej naszej uczennicy, której bardzo źle się powiodło w tej naszej szkole. Szkołę objęła pani Benesz, dawny matematyk naszej szkoły, i prowadziła ją aż do momentu, kiedy weszło do tej szkoły podstawowej także gimnazjum i dwie szkoły były w jednym budynku. W tej chwili jest tam liceum, po tej ostatniej reformie. Nie wiem, jak się tam mieszczą, jak tam sobie dają radę, ale ta szkoła była dla mnie wzorem szkoły i życzyłabym wszystkim szkołom, żeby miały tak inspirujących dyrektorów, nauczycieli tak taktownych, dyrektorów, którzy nigdy nikomu w obecności innej osoby nie powiedzieli nic złego na temat jego pracy, którzy chętnie każdą inicjatywę akceptowali – jeśli była godna tego, rzecz oczywista, wspierali, pomagali.

Data i miejsce nagrania	2019-09-17, Lublin
Rozmawiał/a	Agnieszka Góra-Stępień
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"